BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 9. Niedziela, dnia 27-go kwietnia Rok 1913

WIEWIÓRKA.

(NOWELA Z FRANCUSKIEGO.)

(Ciąg dalszy.)

— Kuzyn był małym, brałem go nieraz na kolana, tak jak teraz trzymam twojego chłopczynę. Spoglądał on na ognisko naszej kuchni, gdzie się piekły kasztany w gorącym popiele, a jeżeli któryś tam z nich źle nacięty, wyskoczył z trzaskiem jak petarda, dopieroż to było chychotania! Dotąd jeszcze brzmi w moich uszach srebrzysty odgłos tego śmiechu. Ach! wspomnienie, jakaż to rzecz słodka i bolesna zarazem! O! co też to za trzpiot był, mój Justynie! a żywy, jak iskra.

— O! tak, — odparł mój ojciec, ożywiając się coraz bardziej — a zgrabny, jak wiewiórka!

Na te słowa twarz Bastiena, przybrała wyraz prawie tragiczny, a ojciec przygryzł usta, jak gdyby się wygadał z jakąś niedorzecznością.

Nagle pomiędzy nami zapanowała tak głęboka cisza, iż ruch wahadła u zegara wydał się niby podwójnie głośnym. Jednocześnie zdawało mi się, że Bastien dostał niespodzianej czkawki i jakaś ciepła kropla, spadła na mój policzek. Podniosłem głowę i spostrzegłem z podziwieniem takież same krople, błyszczące na rzęsach poczciwego staruszka.

— Zupa na stole! — zawołała w tejże samej chwili Scholastyka, stawiając na obrusie dymiącą wazę, z której dobywały się smakowite zapachy porów i kapusty.

— Panie Bastien! — rzekła z kolei, wchodząca matka, mamy dziś właśnie wyborną zupę z jarzyn, — którą warto się posilić, zwłaszcza po podróży odbytej na takiem zimnie. A zresztą zupa z jarzyn przypomni panu departament Wyższej-Marny, przecież to tamtejsza miejscowa potrawa.

II.

Kuzyn Bastien przyjechał na tydzień lecz tak mu się u nas spodobało, iż koniec zapust zastał go jeszcze w miejscu.

Nie mówił już wcale o odjeździe. W początkach marca, wziął na bok moich rodziców i po wielu ceremonialnych zwrotach, prosił ich, jak o łaskę, ażeby mu pozwolili za niewielką zapłatą zamieszkać w swoim domu; chcąc go uwolnić od wszelkich skrupułów i dać tem większe zadowolenie, ojciec mój przystał na tę umowę, wskutek której otrzymał na mieszkanie pokój na pierwszem piętrze, z oknem wychodzącem na ogród. Było to mieszkanie bardzo skromne, którego umeblowanie składało się z orzechowego łóżka, dębowego biurka, stolika, kilku krzeseł, wyklejone pospolitem, papierowem obiciem. Ktoś inny byłby je znalazł zbyt mało ozdobnem, ale nasz kuzyn właśnie je polubił z powodu tej prostoty. Wyprosił nawet i to u mojej matki, ażeby pozwoliła Scholastyce, zdjąć firanki, zdobiące okno.

— Bo to widzicie — mówił nieśmiało — ja lubię patrzeć na niebo przy obudzeniu, a zresztą pod samem oknem znajduje się wysoka akacya, której gałązki zastąpią mi w lecie firanki.

Jakkolwiek wypłacał bardzo regularnie umówioną z góry miesięczną pensyą, zdawało mu się zawsze, iż mu świadczono łaskę, za którą wszelkiemi siłami starał się wywdzięczyć świadczeniem rozmaitych drobnych usług. Obcinał z wilków krzaki różane w ogrodzie, zwijał wełnę na kłębki dla matki, służył za sekretarza ojcu, a ze mną powtarzał zadane lekcye. Będąc niezmiernie nieśmiałym z natury i nadzwyczaj delikatnym względem drugich, chodził zawsze na palcach, przytrzymywał ubranie, ażeby nie zawadzić jakiegoś sprzętu i lękał się wymówienia każdego głośniejszego słowa. Wszystkie jego dzienne zajęcia były uregulowane podług zegarka. Z samego rana, po wypiciu szklanki ciepłego mleka na śniadanie, udawał się na mszę do kościoła św. Mikołaja, za powrotem zaś zamykał się u siebie, i już nie pokazywał się aż do południa; po obiedzie wypalał zawsze małą fajeczkę, ukrywając się z tem, jak gdyby popełniał coś złego. Ta fajeczka południowa, stanowiła jego jedyną przyjemność, a do tego zauważyliśmy, że od popielca, aż do wielkanocy, wstrzymywał się od niej, w duchu wielkopostnej skruchy.

Kochaliśmy go wszyscy, nie wyłączając Scholastyki, nie zbyt łatwiej pod tym względem.

— Jestem tak szczęśliwy, że znów znalazłem rodzinę! — odezwał się pewnego dnia do mojej matki.

Mówiąc to, położył przyjacielsko rękę na mojej głowie.

— Ach! to dziecko — powtórzył z westchnieniem — jak to ja niegdyś za niemi przepadałem. I dziś kocham je także, pomimo wszystkiego...

Potem oddalił się z pośpiechem, jak gdyby chcąc uniknąć jakiego zapytania.

— Biedny człowiek! — rzekła zcicha matka, skoro drzwi zamknęły się za kuzynem; — widzę, że już nigdy nie znajdzie pociechy. Mój Boże, cóż to za nieszczęście; stracić syna, będącego już w tym wieku...

— O! tak, — poświadczył ojciec; — siedemnastoletniego chłopca, a do tego stracić go w tak okropny sposób!...

W jaki to sposób biedny kuzyn mógł stracić swego syna? Nie raz zadawałem sam sobie to pytanie, spoglądając ukradkiem na bladą twarz i poczerwieniałe powieki Bastiena i pragnąłem chętnie dowiedzieć się o tem od rodziców, ale ci starannie unikali moich zapytań, otaczając ten przedmiot nieprzeniknioną tajemnicą. Nawet Scholastyka, która miała zwyczaj podsłuchiwać pode drzwiami, wiedziała nie więcej odemnie. Zresztą i sam kuzyn nie lubił wspominać o tej epoce swego życia, w której zaszedł ów nieszczęsny wypadek, i skoro tylko miał potrącić o ten przedmiot, mijał go krótko, pozostając milczącym i roztargnionym, po całych godzinach. Wówczas to trudno było wydobyć najmniejszego słowa, a to posępne milczenie, sprawiało bolesne wrażenie na wszystkich. Łatwo było odgadnąć, że wspomnienia chwil dawno ubiegłych, ścigały go, jak widma, i jeżeli się obawiał, ażeby ich drudzy nie wywoływali, nie było to bynajmniej z trwogi przed niemi, ale raczej przez rodzaj religijnego poszanowania, z obawy, ażeby ich nie znieważono w pospolitej rozmowie.

W takiem mniemaniu utwierdziła mnie jeszcze ta okoliczność, iż w pewne dni roku, a nadewszystko w wigilie świąt, humor Bastiena, zwykle tak jednostajny, zmieniał się widocznie, stając się dziwnie drażliwym. Nie raz po pół dnia przesiadywał samotnie w swoim pokoju, zamknąwszy drzwi na dwa spusty. W takie dni, przechodząc kurytarzem pierwszego piętra, można było z podziwem usłyszeć w niebieskim pokoju, urywki wyrazów i wykrzykniki, jak gdyby Bastien prowadził rozmowę z kimś drugim: a częstokroć nawet po zdaniach powtarzanych dziecięcym, pieszczotliwym głosem, następowały głębokie westchnienia i tłumione łkanie.

— Masz tobie! — mruczała gruba Scholastyka, schodząc na dół, na samych końcach palców, — otóż znowu pan Bastien majaczy po swojemu. Ha! dziś przynajmniej nie trzeba się wiele troszczyć o to, co mu się da na wieczerzę, bo możnaby mu nawet postawić tłuczone skorupki od jaj, a on by nawet tego nie spostrzegł.

Zapewne też to owej miłości tak trwałej dla utraconego dziecka, zawdzięczałem te szczególne względy, jakich doznałem od kuzyna. Moje trzpiotostwo studenckie, moja niesforna ciekawość i bezustanna bieganina po domu i ogrodzie musiały mu prawdopodobnie przypominać dawniejsze czasy.

Nie mnie to on widział przed sobą, ale owo dziecię, ustawicznie opłakiwane w tajemnicy, które moje skoki, zabawy i szczebiotanie, bezustannie przywodziły mu przed oczy.

Był mi wdzięcznym za to, że sam nie domyślając się tego, przypomniałem mu szczęśliwe dni jego życia, owę odległą epokę, o której nie lubił mówić, chociaż o niej myślał bezustannie.

Przebaczał mi wszystkie moje zachcianki i powoli wciągnąłem go do odbywania z sobą nieskończenie długich partyi w bilard, podczas których oszukiwałem najbezwstydniej, bez żadnej uwagi z jego strony.

Skoro powróciła wiosna i kosy zaczęły gwizdać po szpalerach, kuzyn obrał mię za towarzysza swoich długich wycieczek wiejskich. Po obiedzie, jak tylko nauczyłem się lekcyi i napisałem ćwiczenia, Bastien zabierał do kieszeni porządny kawał gospodarskiego chleba i swój nóż składany w rogowej oprawie i wychodziliśmy obadwaj.

O! cóż to za rozkoszne przechadzki odbywaliśmy natenczas wśród zieleni.

Nasz las d'Argonne zaczyna się o pół mili od Vorzennes. Jest on cokolwiek nieregularnie zarośniętym i pełnym dziwnych widoków. Wszędzie można napotkać ścieżki wykute w skale na podobieństwo schodów, wązkie wąwozy zarosłe krzakami ostrokrzewu i jałowców, na dnie których huczą bystre strumyki, pozamieniane w potoki od deszczów zimnych; dalej znowu na wyniosłościach dęby i graby rzadko porozsiewane rozdzielają się, ażeby można dojrzeć przez ich zarośla długą perspektywę szarych wybrzeży, przy końcu których ukazuje się miasteczko Montfaucon przyczepione do szczytu swej obnażonej góry.

W czasie tych ciepłych godzin popołudniowych na wiosnę, wszystko zdawało się ubiegać o to, ażeby nas powitać najuroczyściej.

Pierwiosnki i anemony leśne okrywały białym i żółtym kobiercem wnętrza wąwozów, dzikie jabłonie obsypywały nasze głowy różowemi listeczkami swych kwiecistych gałązek; balsamiczny zapach sosen napełnił powietrze, a wszelkie śpiewające ptastwo większych zarośli, sikory, dzierzby i pliszki, rozweselało nas powtarzaniem swych pieszczotliwych, miłych piosenek. Kuzyn, jakkolwiek postępował obok mnie, zgarbiony i zapatrzony w ziemię, nie stracił jednak z oczu najmniejszego szczegółu tego leśnego życia, zwracając nań ustawicznie moję uwagę.

— Spojrzyj-no kochanku na ten krzew pokryty całkowicie gronkowatemi kwiatkami barwy karminu; to jest sumak-czerwony, jedna z największych osobliwości argońskiej flory. A czy widzisz tam na tej gałęzi tę szarą kulkę, co wygląda jak balonik z bibuły, to jest osie gniazdo. Prawdziwie trzeba podziwiać pracę tych owadów. A to nic jeszcze w porównaniu z tak wielkiemi mrowiskami, jakie tu masz przed sobą, z ich stożkowatą budową, utworzoną z niezliczonej ilości igiełek sosnowych... O! tak mój mały towarzyszu! świat leśny jest pełen zdumiewających zjawisk, pełen cudów!

Niekiedy siadaliśmy ze zwieszonemi nogami nad brzegiem jakiegoś strumienia. Wtedy Bastien wyjąwszy nóż z kieszeni, zerwał gałązkę wierzbową, obrzynał na niej ostrożnie zwierzchnią korę, którą ściągał następnie i wyrabiał zręcznie rodzaj wiejskiej fujarki do grania. Umiał on wyciągać z niej jednostajne tony, bardzo łagodne i melancholiczne, a ja zawsze z wielką przyjemnością przysłuchiwałem się tej żałosnej melodyi, rozlegającej się zwolna pod wyniosłemi konarami milczącego lasu. Przypatrywałem się osobliwym minom, jakie przybierała twarz kuzyna, podczas gdy jego chude starannie wygolone policzki, to nadymały się, to opadały, stosownie do niezbyt urozmaiconych tonów tej pierwotnej muzyki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DOM I SZKOŁA.

Zadania szkolne.

Zadania pamięciowe i piśmienne, które nauczyciele dzieciom zadają, mają na celu pogłębienie szkólnej nauki i własną pracę dzieci. Ważną i konieczną zatem jest rzeczą, aby dzieci te zadania wykonały same. Lecz równie ważnym i koniecznym jest obowiązkiem rodziców czuwać nad pilnem wykonaniem zadań szkólnych, a w tym celu 1) nie obciążać dzieci szkólnych zbytecznie pracą ciężką i wiele zajmującą czasu. Niejedna matka nie może się doczekać, aby dziecku, skoro tylko powróciło ze szkoły, dać małe dziecko do piastowania, lub zaprządz je do jakiej pracy w ogrodzie albo polu. Dopiero w późnej godzinie biedactwo takie zabiera się do zadań szkólnych, odrabia je spiesznie, niedbale albo zupełnie o nich zapomina. 2) Starać się o potrzebny spokój podczas pracy szkolnej dziecka. Najlepiej, gdy matka usiądzie z robotą w ręku, lub z najmłodszem dziecięciem i każe szkólne zadania pisać wolno, ładnie na czystym stole, przy dobrem świetle bez przeszkód, hałasów i roztargnienia. 3) przekonać się, czy pamięciowe zadanie dobrze jest w pamięci. Bardzo dobrze czynią matki, gdy każą dzieciom przepowiadać zadania, dziecko tym sposobem bierze zadania swoje na seryo, uczy się szanować obowiązek i stawiać go na czele — przed zabawą i osobistą przyjemnością. Niejedna matka nie posiada tyle nauki, aby każde zadanie dziecka zrozumiała i trzeba jej nieraz męczyć umysł, ale miłość macierzyńska i poczucie obowiązku są tak silnymi bodźcami, że i w tym razie zastąpią jej nieumiejętność i dodadzą sił potrzebnych. Nieraz matka przyswaja sobie nauki trudne i obce, aby tylko podążyć z dzieckiem i być mu pomocną.

Zwracam się przeważnie do matek, a nie do ojców, gdyż w matki ręku leży praca wychowawcza, ojca udział w tej pracy jest o wiele mniejszy, lecz może być nader zbawienny i stanowczy. Ojciec zazwyczaj więcej wykształcony potrafi lepiej pokierować pracą umysłową dziecka, przeto nie powinien się żadną miarą uchylać od tego obowiązku.

Rodzice polscy nie otrzymując w szkole tego kierunku i tej właśnie nauki narodowej, jakaby ich dzieciom była pożądana i przydatna, już z tej samej racyi zobowiązani są do starannego czuwania nad wykończeniem zadań szkólnych, do pilnego obserwowania dzieci, o ile język niemiecki jest im jeszcze niezrozumiały i stanowi przeszkodę w dobrych postępach. Niech ojciec i matka ile tylko potrafią, starają się przetłómaczyć na język ojczysty wyrazy obce jeszcze dziecku, lub niedokładnie zrozumiałe.

Którakolwiek matka pracą zawodową n. p. w kupiectwie, zmuszoną jest do ciągłej nieobecności w domu, musi oczywiście znaleść osobę zaufania i odpowiednio wykształconą, której może powierzyć dozór nad nauką dzieci. Kilka rodzin mogłyby wspólnie dozór taki opłacać, a wtedy dzieci ukończywszy zadania o wiele prędzej i lepiej mają jeszcze dosyć czasu na czytanie i pisanie w ojczystym języku i na pomoc w pracy domowej i potrzebną tu koniecznie zabawę i ruch na świeżem powietrzu.

M. G.

Gościnność polska.

Gościnność, znamionująca tyle szlachetny ród Słowian, w największej czci była u naszych przodków; proste oni mieli przysłowie, ale go czuli w prostocie duszy i obyczajów:

„Gość w dom, Bóg w dom“.

Uprzejmość domowa i chęć usłużna gospodarza tak były znajome, że stara przypowieść:

„Kiedy gospodarz na ganku, niema gości doma“, maluje najdokładniej baczną troskliwość i zajęcie w gościa przyjęciu. Ojcowie też nasi w przysłowiach zostawili przepisy niejako i dla gościa i dla gospodarza; pierwszemu zalecano:

„Gospodarza w domu nie częstuj, czeladzi mu nie pój, żonie się nie zalecaj“.

„Gospodarza w domu trzeba słuchać“.

„Kto do cudzego domu wnijdzie, gospodarskiej woli dogadzać musi“.

„Gdzie cię radzi widzą, tam nie często bywaj, a gdzie nie radzi, tam nigdy“.

„Pięć rzeczy (mówi z XV wieku przysłowie), powinien mieć każdy dla gościa: kapłon tłusty, piwo dobre, chleb chędogi, ocet mocny i gorzałkę przednią“.

Ale nie na przyjęciu samem i na karmieniu kończyła się gościnność. Bezpieczny, daleki od zdradzieckiego napadu, mógł każdy wchodzić w progi pierwszego domostwa: znalazł tam niechybnie oprócz posiłku żądanego przytułek i ochronę. Nieprzyjaciel nawet i wróg zaprzysięgły, kiedy jako gość i proszący o schronienie przybył, szabla gotowa do zemsty w pochwach spoczęła i nigdy prawo gościnności złamanem nie było. Dawna przypowieść mówi:

„Staropolska jest to cnota,
Nikomu nie zamknąć wrota“.

Małoż tej cnoty mamy przykładów? przestanę na jednym:

Po zalaniu Polski przez zwycięskie wojska Karola XII, kiedy Augusta II zmusił do ustąpienia z kraju, król ten przedsięwziął niebezpieczną do Tykocina podróż w towarzystwie trzech osób, dla widzenia się z Piotrem Wielkim. Już w pobliżu miasta ujrzał, że mocny oddział Szwedów zastępował mu drogę. W tak groźnem niebezpieczeństwie szuka ochrony we dworze ziemianina polskiego. Przybywa śpiesznie, ale jakież było zdziwienie Augusta, gdy ujrzał w osobie gospodarza (którego nazwiska dzieje nam nie zachowały), jednego z najzaciętszych nieprzyjaciół swoich. Pomieszany, zaledwie zdoła wymówić: „Żądam schronienia, Szwedzi wokoło!“ kiedy wspaniały odpowiada ziemianin: „Najjaśniejszy Panie! lubo wam nieprzyjazny, gdy żądasz przytułku, nie zawiedziesz się bynajmniej. Nigdy Polak nie zdradził swego monarchy. Żądaj wszystkiego, a ręka i serce jest na usługi W. Król. Mości. Nie obawiaj się niczego, po moim chyba trupie dostaną Szwedzi waszą osobę“. Jakoż wiernie dotrzymał słowa, gdy minęło niebezpieczeństwo, król August udał się do celu podróży swojej.

Otwartość, prostota i szczerość cechowały przedchrześciańskie wieki. U pana czy u kmiecia stół był nakryty zawsze, stała zawsze flasza z napojem, czara; leżały chleb i sól. Pierwsze powitanie, które gość od gospodarza odbierał, skoro próg domostwa przestąpił: „chleb z solą i dobrą wolą“, a słowa te nie były tylko czczą formułą

przyjmowano zawsze szczerze, nie żałowano niczego, bo: czem chata bogata, tem była i rada. Jeszcze i teraz lud krakowski i sandomierski przy odchodnem gościa zachowuje stary obyczaj, że się nim łamie kawałkiem chleba na znak przyjaźni i gościnności.

Szymon Starowolski mówiąc o zwyczaju podawania sobie ręki na znak przyjaźni, pisze dalej: „przodkowie nasi ten zwyczaj wnieśli, iż kto w dom do kogo przyjdzie, witając go, rękę mu daje gospodarz, jako znak ubezpieczający go, iż w domu ma się przystojnie zachować, żadnej zdrady nie myśląc. A kiedy odjeżdża, chleb jego jadłszy, znowu mu rękę przy pożegnaniu daje, przyobiecując mu za to być dobrym przyjacielem zawsze, iż go czcił w domu swoim, a chlebem go swoim nakarmił. A kiedy się kto niespokojnie zachował a zwadził albo z samym gospodarzem, albo z gościem jego, za wielką mu to sromotę na oczy wyrzucano, iż rękę dawszy zdradziecko sobie w domu gospodarskim począł — który, gdyby był wiedział o takim gościu niespokojnym, ubrałby się we zbroję albo w pancerz i szyszak, do stołu idąc, a czeladce kazałby stać przed sobą z knotami zapalonymi w pogotowiu. (Starowolski mówi tu o knotach zapalonych do ręcznej broni, w tym wieku albowiem i długo poźniej używano knotów zamiast skałek).

Jeżeli sromotą było niegodne znalezienie się gościa, większą bez wątpienia złe przyjęcie przez gospodarza. W starych powieściach ludu, co jeszcze nie zaginęły, krąży pomiędzy Góralami od Dukli i Żywcą, niejedna tradycya, jak zacięci nieprzyjaciele wieczerzają wspólnie, a nazajutrz się biją. Krąży powiastka o panu na Tyńcu, u którego gdy nocował rycerz mu nieprzyjazny, skuszony od djabła, już szedł go zamordować w śnie. Ale święty Stanisław stanął na progu komnaty, gdzie gość spoczywał: „Stój niebaczny! — rzekł podziemnym głosem — czyli chcesz stracić zbawienie duszy? podałeś mu rękę na znak gościnności, a gdy on zaufał i z modlitwą usnął, idziesz go zdradziecko zamordować. Za karę złej myśli pokutuj lat siedem na puszczy, a na tem miejscu wybuduj kościół boży". Pan przerażony usłuchał rozkazu świętego, pokutował lat siedm i wystawił Tyniecki klasztor. Taki początek lud nadaje sławnemu opactwu tynieckiemu.

Nie tak sucho jak dzisiaj kończyło się uprzejme, a szczere gościa przyjęcie. Po przywitaniu serdecznem zasiadano do stołu; tam owe prośby i przymuszania do jadła i napoju, nalegania i pewna wątpliwość, że musi być niesmaczna potrawa, kiedy jej gość pożywać nie raczy. Ze znanej i doświadczonej gościnności wszedł obyczaj, że nie do karczem, nie do zajezdnych domów, lecz prosto udawano się do domu znajomego czy nieznajomego ziemianina, proboszcza, z którym wnet się tworzyła poufałość i każdy nie za natręctwo to uważał, lecz jak wyświadczoną sobie łaskę cenił i przyjmował najmilej. Stąd powszechne zostawianie kilku miejsc próżnych u stołu dla panów Zagórskich czyli mających jeszcze przybyć, stąd ludzkość owa, że ktokolwiek, chociaż nie proszony ani spodziewany, wszedł i cześć gospodarzowi oddał, miał prawo z nim u stołu zasiadać.

Wiek XIII i XIV, prawie do połowy XV, ciekawe zachowywał zwyczaje. Pomimo tak wielkiej gościnności nie chciano do jednego stołu siadać z ludźmi, którzy się pokazali niedbałymi o swoją sławę; kłamcy i od czci odsądzonemu dawano pogardy wyraźne dowody, gdyż nie tylko, iż nikt z nimi u stołu nie siedział, ale nawet przed nim obrus krajano. Z drugiej strony, gdy szczególniejszy chciano dać dowód dla lubego gościa, gospodyni częstowała go potrawą własnemi rękoma, panien dworskich lub córek swoich, jak w pomniejszym domu uboższego ziemianina. Jak tamte zwyczaje już przy końcu XVI wieku ponikły, tak ten istniał prawie do XVII.

Dla domu i gospodarstwa.

Czy pocałunkiem przenieść można chorobę?

Przypuszczenie, że dziecko zaraziło się błonicą od osoby dorosłej, która je pocałowała, jest zupełnie trafne; w ten sposób niejedno już maleństwo padło ofiarą braku czujności ze strony rodziców oraz lekkomyślności osób obcych, które czują się w obowiązku ładne dziecko pieścić i całować. Słyszeliśmy raz, jak sławny lekarz, wyjeżdżając z domu na dni kilka, przestrzegał żonę, żeby pod żadnym pozorem nie pozwoliła nikomu obcemu całować dzieci.

— Jakież w tem może być niebezpieczeństwo? — zapytałem.

— Wielkie nawet — odrzekł lekarz — a nikt nie jest na nie więcej narażony jak moje dzieci. Podczas godzin przyjęcia przychodzi do mnie wielu chorych, którzy nieraz długo czekają. Jeśli które z dzieci przypadkiem wejdzie wtedy do salonu lub przedpokoju, każdy chce je wziąć na kolana i całować. Aż mię dreszcz przechodzi, kiedy sobie wystawię, że zsiniałe usta moich pacyentów mogą dotknąć ust dziecka i udzielić mu zarodków jakiej strasznej choroby, że zepsuty oddech chorego owionie delikatne jego lica. To samo się dzieje na przechadzce. Pierwszy lepszy zwabia do siebie igrające opodal dziecko i, nie pytając o pozwolenie, obsypuje pieszczotami. Nietylko Judasz zdradził za pomocą pocałunku: setki pięknych, kwitnących dzieci padło wskutek pocałunku ofiarą śmierci. Zrozpaczeni rodzice nie wiedzą, skąd ukochane ich maleństwo mogło się zarazić szkarlatyną, ospą lub błonicą, nie wiedzą, że jad choroby dostał się do jego organizmu za pośrednictwem pocałunku obcej osoby.

— To prawda, doktorze — rzekłem — ale jakże matka może być niegrzeczną i usunąć dziecko, kiedy ktoś chce je popieścić?

— Nietylko może, ale powinna tak uczynić — stanowczo odparł lekarz; — najlepiej jest objaśnić dziecko, że nie jest ani pieskiem, ani kotkiem, żeby przyjmowało pieszczoty od osób nieznajomych; nie powinno się do nich zbliżać, a przedewszystkiem nie dać się całować. Nic zdradniejszego nad pocałunek osoby chorej: odra, ospa, szkarlatyna, koklusz, malarya, błonica, zakażenie krwi tą drogą najłatwiej dostają się do organizmu. Nawet ludzie dorośli nie są wolni od tego niebezpieczeństwa.

— **Potrawka z królika.** Królika kraje się na kawałki, soli go, daje go do rynki, polewa pół szklanką wrzącego octu, dodaje 1 łyżkę kopiastą smalcu i 1 drobno siekaną cebulę i dusi razem na wolnym ogniu, podlewając od czasu do czasu po 2—3 łyżki zimnej wody. Gdy mięso już miękkie a woda się wysmażyła, należy mięso obsypać 2—3 łyżkami pszennej mąki, i zrumienić ją. Gdy mąka już rumiana, wlewa się do mięsa 1 szklankę zimnej wody i 1/4 litra kwaśnej śmietany i zagotuje razem. Do potrawki podaje się ryż ugotowany, albo ziemniaki, albo kaszę hreczaną.